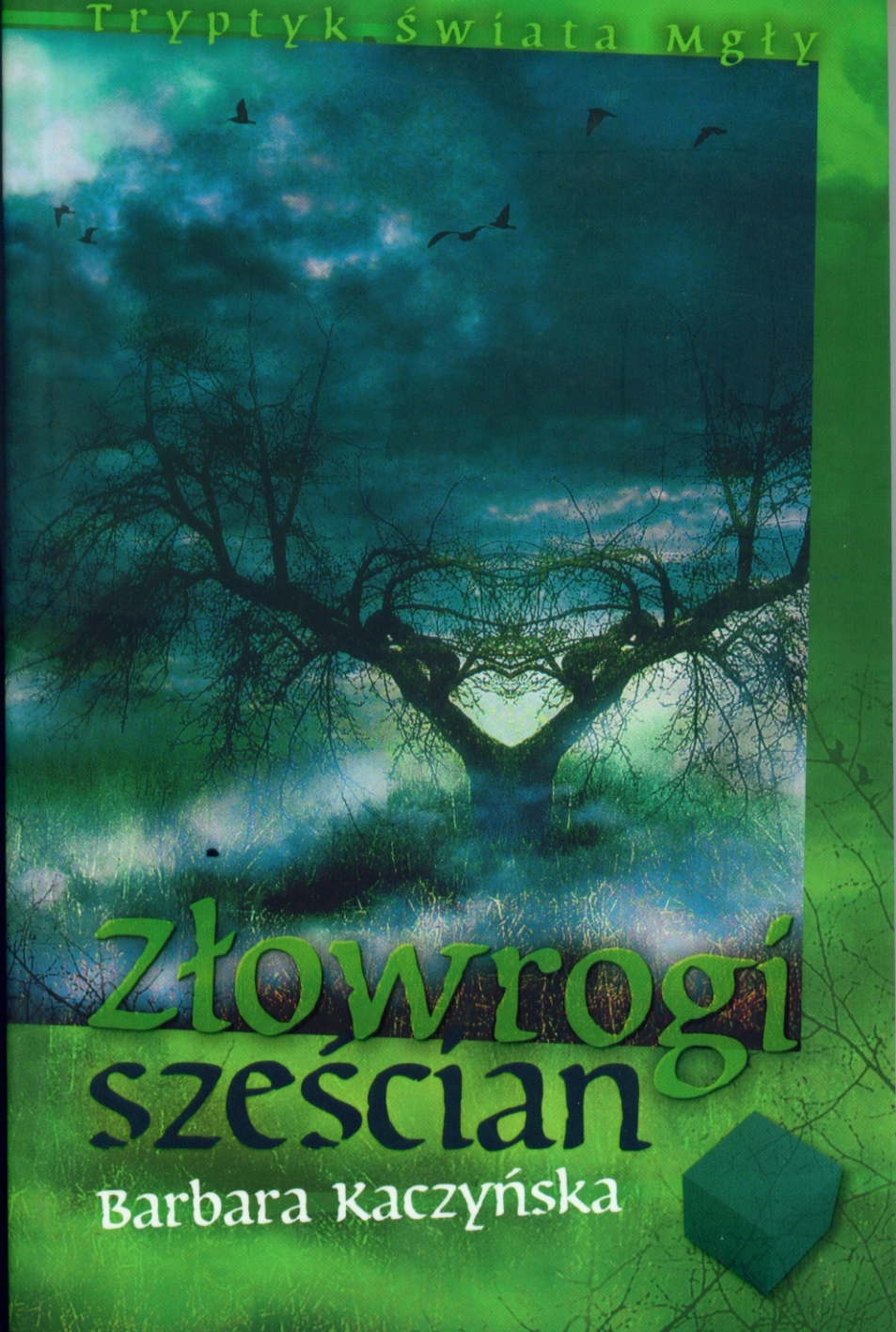


Tryptyk Świata Mgły



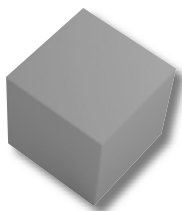
Złowrogie szescian

Barbara Kaczyńska





Złowrog szescian



Złowrogí sześcián

Barbara Kaczyńska



Warszawa 2009

© Copyright by Barbara Kaczyńska, 2009
© Copyright by Biblioteka Analiz Sp. z o.o., 2009

Redakcja:	Łukasz Gołębiewski
Korekta:	Sylwia Mroczek-Zawadzka
Projekt okładki:	Grzegorz Zychowicz Tatsu 
Zdjęcie na okładce:	Mateusz Pawlik www.brenio.pl
Zdjęcie autorki:	Radek Pasterski Fotorzepa
Łamanie:	Tatsu  tatsu@tatsu.pl

ISBN 978-83-62948-23-9

Wydanie I
Warszawa 2009



Gdzie i kiedy rozgrywa się ta historia

Właściwie nie wiadomo dokładnie, czemu nasz świat nazwano Światem Mgły. Nikt nie jest pewien, ale uczeni twierdzą, iż na początku była tylko Wielka Mgła, z której wyłoniły się lądy, morza, planety, gwiazdy i wszystko inne. A oni zazwyczaj mają rację, co nie znaczy wcale, że zwykle się nie mylą.

Księga ta niesłusznie może nazywa się „Tryptykiem Świata Mgły”, gdyż traktuje tylko o Wielkim Łądzie Półokrągłym. Ale wydarzenia tu opisane mogły wpłynąć na cały Świat, stąd decyzja, by ostatecznie pozostawić taki właśnie tytuł.

Kilka słów odnośnie naszego Łądu. Nie jest on w żadnym razie jedynym, na południu i wschodzie mamy zatrzęsienie różnorakich wysp, większych i mniejszych, możliwe też, że na zachodzie również, ale nie zostało to jeszcze zbadane. Wielki Łąd Półokrągły otoczony jest podobno czterema morzami, jeśli wierzyć kodeksom trytońskim. Nikt tego osobiście nie sprawdzał. Od południa mamy Morze Zielone, najlepiej poznane ze wszystkich. Od zachodu Morze Popiołów, szare, ogromne i burzliwe. Na wschodzie rozciąga się Ocean Małż, gdzie przeprowadziły się z Morza Zielonego wszystkie trytony, kiedy uznały, że nie odpowiada im ciągły ruch statków handlowych. A na północy — podobno — znajduje się Morze Toksyczne, wiecznie skute trującym lodem. Nikt do niego nie dotarł, nawet dzielni ludzie z Rornalandu, a jeśli dotarł, to morze rzeczywiście jest toksyczne, skoro nie wrócił. Nie wiadomo, czy ta osławiona woda naprawdę oblewa

Ląd od północy, możliwe, że nie, możliwe, że ziemia ciągnie się w nieskończoność.

Właśnie na najdalszej północy, która zaczyna się gdzieś w połowie *poznanych* obszarów Łądu, rozciąga się Rornaland, Ziemia Niczyja, gdzie tylko brodaci Rornalandczycy godzą się mieszkać i, co najśmieszniejsze, całkiem nieźle im się żyje. Rornaland to niezmierzona tundra, płaska, łysa i niegościnna, gdzie latem wiatr sypie pyłem, a zimą sytkim śniegiem. To ojczyzna przedziwnych zwierząt podobnych do jeleni, a które tamtejsi ludzie zwą „renifere”. Nad samym Morzem Toksycznym mają natomiast mieszkać ogromne jaskrawożółte niedźwiedzie, od jedzenia ryb z trującej wody świecą one w ciemności, a ich oddech zabija. Rornaland nie ma statusu państwa, administracja jest bardzo słaba, jeśli nie liczyć fragmentu należącego do Zlandii. Rornalandczycy żyją w luźno rozrzuconych wioskach, które po jakimś czasie porzucają i przenoszą się dalej, w miejsce bardziej obfitujące w zwierzynę.

Zajmijmy się teraz zachodnią częścią Łądu. Na południe od Rornalandu leży Cesarstwo Sylstyńskie. Jego początki sięgają roku 600, kiedy to nieznaczące przedtem wiele bagienne państewko Sylstyn zaatakowało sąsiedni, położony na wschód od niego, Gulchyn, kraj bardzo wysoko rozwinięty i pokojowo nastawiony (co nigdy nie wychodzi nikomu na dobre). Gulchyńscy doszli do wniosku, że nie będzie im się żyło źle pod panowaniem sylstyńskim i nie walczyli. Ich król dobrowolnie abdykował na rzecz Wielkiego Wodza Sylstynu, który po tym zwycięstwie, jeśli wolno tak to nazwać, przybrał tytuł Cesarza. Bo trzeba wiedzieć, że zdobywszy Gulchyn, Sylstyn urósł w siłę i stał się cesarstwem. Zyskał bogate w zwierzynę lasy i glebę doskonałą pod uprawy, a Gulchyńscy i Sylstyńscy szybko zaczęli zawierać mieszane małżeństwa.

Potem Cesarstwo podbiło kolejno Południową Pustynię, krainę jałową i suchą, lecz doskonale nadająca się do hodowli

wielbłądów i sąsiadującą z bogatą Nadmorenią, Ziemie Wulkaniczne (głównie domenę salamandrowców, które miały głęboko gdzieś, jak się nazywa ich król i jakiej jest narodowości, skoro i tak nie były ludźmi) i Góry Wylfickie, za którymi leży Rornaland. Rozprawa z Wylfitami trwała najdłużej, bo aż dwadzieścia lat, i zakończyła się dopiero w 670 roku. Wylfici, ten niski i butny lud, nie mogli znieść myśli, że mieliby być komuś poddani. Jeszcze przez dłuższy czas po tym urządzali bunt i rewolucje, krwawo tłumione przez wojska sylstyńsko-gulchyńskie.

W ten sposób Sylstyn otoczył się ze wszystkich stron prowincjami, zyskał dostęp do dwóch mórz — do Zielonego przez Południową Pustynię i Góry Graniczne i do Popiołów przez Ziemie Wulkaniczne. Stał się potęgą.

Za południowymi Górami Granicznymi, kończącymi Pustynię, leży niewielkie księstwo Nadmorenii, które wkrótce zapewne stanie się kolejną prowincją Sylstynu. A na południowy wschód od Cesarstwa znajduje się kraj Nauretanii, gorący, w większości pustynny, gdzie domy i pałace są bogato zdobione, w portach stoją statki kupieckie, a ludzie mają ciemną skórę i noszą fantazyjne ozdoby.

Taki jest stan zachodniej części Łądu Półokrągłego, przynajmniej na dziś. A ponieważ Sylstyn nie nakładał dużych podatków na nikogo i pozwalał przeważnie na praktykowanie tradycji i zwyczajów, buntów nie było. Aż do czasu, gdy Sylstyńczycy postanowili podporządkować sobie jak najbardziej niepodległy lud Wylfitów.

Na północny wschód od Cesarstwa i Nauretanii leży Zlandia. W 713 roku, czyli w czasach, w których dzieje się pierwsza część tryptyku, Zlandia obejmowała dość niewielki teren, ale już dwa lata później odebrała spory kawałek ziemi Złotni i zagarnęła dość dużą część Rornalandu, gdzie zaczęli osiedlać się osadnicy. Po tym władca Zlandii przybrał imię cesarza, idąc za przykładem Sylstynu.

Zlandia jest teraz dużym krajem, w większości stepowym, raczej słabo zaludnionym, jeśli nie liczyć południowego fragmentu, który należał wcześniej do Złotni. To duże połacie terenu, porośłe niską trawą i krzewami ugrzynu.

Złotnia rozciąga się od Cesarstwa Sylstyńskiego aż do Oceanu Małż. Mimo swojego rozmiaru, jest jedynie księstwem i nieustannie ma kłopoty związane z granicami. Tak jak w Zlandii, przeważają w niej trawiaste równiny, chociaż na zachodzie i południu rosną lasy, obecnie karczowane, by uzyskać ziemię pod uprawę.

Na południe od Złotni znajdują się Puszcze, rozległe i nieprzebyte lasy, o których mówi się, że pełne są magicznych stworzeń, które umknęły z lasów gulchyńskich po podboju Sylstyńczyków. Natomiast na północ od księstwa mamy Lasy Północne, równie tajemnicze jak Puszcze.

Rzecz dzieje się w okresie sześćdziesięciu lat, między rokiem 713 a 773. Część pierwsza w roku 713. Lata liczone są od rozpadu Królestwa Łądu Półokrągłego.

Rozdział I

Nieczęsto w ostatnich czasach używaną leśną drogą gulczyńską szedł dość beztroskim krokiem przedziwny wędrowiec. Wzrostem nie przewyższał ośmioletniego dziecka i na tyle wyglądał na twarzy. Miał stosunkowo długie, lecz cienkie włosy koloru jasnobrązowego i niezwykle duże, trójkątne uszy, usiane jasnofioletowymi żyłkami i nieustannie się poruszające. Oczy przybysza były szeroko otwarte i żywo rozglądające się wokoło, a na ustach gościł krzywy uśmieszek. Czasem tylko wydobywało się z nich gwizdnięcie czy kilka wersów piosenki, zaraz cichnącej lub urywającej się nagle. Jednak najdziwniejszy zdawał się strój i ekwipunek podróżnika. Składał się on z wąskich spodni i noszonej na dość wysłużonej koszuli kolczugi, sięgającej połowy łydek i spiętej w talii szerokim skórzanym pasem. Mimo tego obciążenia, wędrowiec szedł szybkim i lekkim krokiem, co jakiś czas podskakując niemal tanecznie, a kolczuga brzęczała, wtórując jego pogwizdywaniom. Wielkouchy nieznajomy miał też zarzuconą na ramię sakwę, teraz prawie pustą, a w jednej ręce trzymał... topór o drzewcu wyższym dwukrotnie od niego samego, z wyglądu bardzo ciężki i ostry. A wędrowiec używał go raz jako laski, raz jako tyczki do skoku, raz wreszcie jako zwykłej zabawki do zajęcia rąk. Podrzucał topór, kręcił nim młyńce, przekładał z ręki do ręki, i robiąc to wszystko, ani razu nie zatrzymał się, ani nie zawahał.

Takiego stworzenia nie widziano w Lesie Zamkowym już od dawna. Od tak dawna, że nikt nie mógł mieć pojęcia, kim

jest. Istota o uszach nietoperza i postaci dziecka, nie robiąca sobie nic a nic z ciężaru zbroi i broni, idąca samotnie drogą z północy — widok taki stanowił rzadkość już wtedy.

Wędrowiec zatoczył toporem szeroki łuk, mijając o centymetry pień drzewa i zaśpiewał przyciszonym głosem:

*Przez ten ciemny las
Szedłem sobie raz.
Zgubiłem ja towarzyszy
Moja szkapa z trudu dyszy...*

Urwał. — Nie, to jednak nie dość dobre — powiedział do siebie i przeskoczył nad kałużą. — Nie szedłem nigdy przez ten las, towarzyszy zostawiłem w domu, konia nie mam również. Smutna prawda! — lecz przecząc swoim słowom, roześmiał się głośno i zatrzymał się. — A kłamstw opowiadać się nie godzi. Może więc tak:

*Przez ten ciemny las
Idę pierwszy raz.
Chcę gdzieś dojść po trudach wielu,
Nastuchując ptasich trelów.*

Całkiem dobre, jak na wymyślane na poczekaniu — stwierdził, ruszając znowu. — Gdyby tylko ten las był nieco ciemniejszy. I gdybym rzeczywiście chciał usłyszeć ptasie trele. Bo mówiąc szczerze, słyszę je stale i skrzeczenia tych skrzydlatych stworów mam po dziurki w nosie, lub, inaczej mówiąc, powyżej uszu, a jak się ma takie uszy, to raczej to coś znaczy — ciągnął w myślach, podrzucając i łapiąc swój topór, nawet na niego nie patrząc. — W tej chwili o ileż miłszy byłby głos jakiegoś nieokrzesanego, nieumytego i nieogolonego strażnika miejskiego, który zwiastowałby rychły koniec mej podróży...

— Stać! — przerwał mu szorstki, nieprzywykły do sprzeciwu głos.

— Czyżbym w końcu doszedł? — zawołał podróżny, zatrzymując się i opierając na drzewcu topora. Na drogę wyszło dwóch nieokrzesanych, nieumytych i nieogolonych mężczyzn w zapocornionych i zużytych mundurach. Jeden z facetów kończył coś jeść.

— Jesteśmy strażnikami miasta Podzamcze i mamy obowiązek sprawdzać nadchodzących — wyrecytował strażnik, który nie jadł i przemówił wcześniej. Jego towarzysz pokiwał gorliwie głową.

— Kim jesteś, panie? — zapytał służbowym tonem pierwszy. Przez cały ten czas patrzył w powietrze nad głową przybysza. Dopiero po ostatnich słowach spojrzał w dół, nieco zmieszany, i szczeka opadła mu ze zdumienia.

— Kim jestem? — powtórzył dziwak. — Czy wszystkim zadajecie takie samo pytanie? A co by było, gdybym ja nie był, tak jak Pani, Która Nie Jest? Poczulbym się urażony. Wracając do pytania, mógłbym rzec, że Janosikiem, skoro mam takie coś w rodzaju ciupagi.

— Janosik? Ten wyjęty spod prawa drań? — zdenerwował się strażnik. Drugi zrobił przerażoną minę.

— Powiedziałem, że mógłbym tak się przedstawić, lecz nie rzekłem, że jestem Janosikiem. Myślę, że nie uwierzylibyście, gdybym wam rzekł, że jestem Liszko?

— Liszko? — mężczyzna był wyraźnie skonsternowany.

— No, Liszko. Małe Licho, czyli Liszko — wyjaśniło stworzenie.

— Ale... Ale Licho ma jedno oko i... — zaczął dukać drugi strażnik.

— Toteż mówię, że nie uwierzylibyście. I słusznie — powiedział radośnie wędrowiec. Pierwszy strażnik chyba stracił cierpliwość.

— To kim ty w końcu jesteś? — spytał surowo. — Przystań bredzić o niczym i odpowiedz!

Podróżny westchnął.

— A mogłem jeszcze powiedzieć, że jestem człowiekiem mutantem. Ale dobrze, nerwusie, jestem Leśnym Dziadem.

Strażnicy osłupieli.

— Leśny Dziad? — wyjąkał drugi. Miał wielką plamę z sosu na mundurze i krzywo zapięte guziki.

— Nie gadaj, stworku. Za mały jesteś na jakiegokolwiek dziada — oświadczył stanowczo pierwszy.

— Powiedziałem, kim jestem, nie chcecie, nie wiercie. Przepuście mnie teraz.

— Ale prawdę masz rzec.

— No więc — powiedział przeciągle domniemany Leśny Dziad — może jeszcze nie urosłem! — zakończył wesoło. — To mogę przejść?

— Zaraz, zaraz! A gdzie ci tak spieszno? — pałeczkę przejął drugi strażnik.

— Do miasta, nie? Tam prowadzi droga, tego miejsca strzeżecie — choć mogli wybrać bystrzejszych na wasze miejsce. Po co się pytacie? Dajcie mi iść, w drodze jestem od stu lat, mówiąc w przenośni, i jedzenie mi się skończyło. A ta plama na twym uniformie przypomina mi o kolejnym opuszczonym posiłku. Nawiasem mówiąc, radziłbym ją sprać. Jak wilki was tu najdą, będą miały przyprawę jak znalazł. Chyba że to taki kamuflaż, nowa wersja moro, nie znam się...

— Och. Ale...

— Po co ci te uszy? — wrzasnął zirytowany pierwszy strażnik.

— Żeby cię lepiej słyszeć. Dlatego nie musisz tak krzyczeć.

— No a... A ten topór?

— Topór? Jaki znowu topór? Ach, TEN — przybysz przełożył topór z ręki do ręki i uśmiechnął się niewinnym, a jednocześnie dość zębatym uśmiechem. — Pewnie nie uwierzy-

cie, ale do pomocy drwalom i ogrodnikom, do cięcia pni. I do zbierania kapusty.

— Nie!

— Ależ tak.

— On znowu się z nas nabija — zaprotestował strażnik z plamą.

— Wcale nie. Mówię zawsze prawdę, niecałą prawdę i tylko prawdę. Topór jest do cięcia takich głuchych jak pnie głębów. Takich głębów, na których całkiem mocno siedzą kapuściane głowy i pniaków, które zagradzają mi przejście.

— On nas obraża — odkrył drugi strażnik.

— I nam grozi — dodał pierwszy, zaciskając pięści. Leśny Dziad zakreślił od niechcenia młyńca toporem.

— Dajcie mi przejść — powiedział z westchnieniem. — Lepiej zużylibyście ten czas, piorąc mundury.

— Nikt nie może bez pozwolenia wносить broni do Podzamcza — powiedzieli chórem strażnicy.

— Ależ to narzędzie, nie broń — wędrowiec uśmiechnął się szeroko i pomaszerował rażno dalej, wymachując toporem. Strażnicy nawet go nie zatrzymywali. Ostatnio czasy były tak niebezpieczne, że byle wieśniak jadący z warzywami na targ pod kozłem trzymał maczugę. A przez to w miastach robiło się jeszcze bardziej niebezpiecznie...

— Mówiłem dowódcy, że na tę drogę winien przydzielić więcej jak dwóch funkcjonariuszy — burknął markotnie pierwszy strażnik. Drugi nie odpowiedział, zajęty zeskrobywaniem sosu z kurtki.

— Coraz dziwniejsze towarzystwo schodzi się do Podzamcza — rzekł dalej pierwszy. — I my mamy wszystkiego upilnować. Typowe. No, trzeba zapisać tego hardego stwora w naszej księdze odwiedzin — westchnął i usiadł pod krzakami.

Tymczasem Leśny Dziad zbliżał się do murów miasta.

Rozdział II

Żarnowiec siedział w kącie izby w karczmie, wyciągnął przed siebie nogi. W płaszczu z kapturem było mu gorąco i duszno, ale go nie zdjął. Łypał tylko na weselących się ludzi i nieludzi. Najwięcej było Gulchyńczyków i Sylstyńczyków. Siedzieli w dużych grupach i żłopali piwo, co chwila wybuchając głośnym śmiechem. Mniej było Wylfitów, zbijających się w niewielkie gromadki i patrzących czasem nerwowo, a czasem niechętnie na ludzi z Sylstynu. Przy stoliku pod ścianą siedział tajemniczy gość z Południowej Pustyni, paląc długą fajkę i z niskiej szklaneczki popijając szmaragdowozielony płyn. Przy samym kominku, grzejąc ręce, stał brodaty mężczyzna w powłóczystych szatach, prawdopodobnie czarodziej. W najdalszych kątach sali zdarzyło się kilku salamandrowców, dwóch czy trzech elfów i zajadle kłócące się z nimi krasnoludki z dalekich Puszczy. Panował gwar i radość — jednak niepełna. Przy drzwiach stał strażnik i bacznie obserwował wszystkich i wszystko.

Do Żarnowca podeszła córka karczmarza, wycierając ręce w kraciasty fartuch tym samym ruchem, jakim robił to jej ojciec.

— Życzysz sobie czegoś, wędrowcze? — spytała z nadzieją. Żarnowiec siedział tak już od godziny i jeszcze niczego nie zamówił.

— Nie, dziękuję — odrzekł najniższym i najbardziej tajemniczym głosem, na jaki go było stać. Dziewczyna spojrzała na niego niechętnie i odeszła.

Zaczęło mu się trochę nudzić. Pożałował, że odmówił młodej karczmarce. O ileż weselej byłoby teraz siedzieć wśród tych Sylstyńczyków i pić z nimi najlepsze piwo w mieście... No, chyba żartujesz, przywołał się do porządku. Złamałbyś trzecią zasadę kodeksu Tajemniczych Gości z Północy.

Jak dotąd, nie złamał ani jednego przepisu. Poszedł do herbarza, który dorobił mu drzewo genealogiczne korzeniami sięgające Wielkiego Króla Urgala. Kupił płaszcz z kapturem w ciemnych kolorach, wygrzebał z jakiegoś grobu zardzewiały, połamany miecz, nie golił się i nie mył włosów, próbował zaprzyjaźnić się z elfami, dużo podróżował, milczał i trzymał się w cieniu. Miał nadzieję wkrótce spotkać jakieś niskie stworzonko o wielkich stopach i włosach gęstych jak zarośla. Najlepiej zainteresowane złotą biżuterią.

Uniósł wzrok i prawie krzyknął z radości. Oto do karczmy wszedł właśnie niewielki człowieczek! Zaraz jednak Żarnowiec posmutniał. Owszem, człowieczek był niski, ale włosy miał cienkie i proste, o wiele też za jasne. Nosił buty. Był za chudy. Miał za duże uszy. Trzymał ogromniasty topór. I nie zdawał się posiadać nawet maleńkiego złotego wisiora lub kolczyka. Żarnowiec zawiedziony spuścił głowę i przyjrzał się swoim mocno schodzonym kozakom, kupionym po okazijnej cenie od jakiegoś chobałda.

— Można się przysiąść? Dziękuję bardzo — usłyszał wesoły głos tuż obok siebie. Spojrzał w górę i zobaczył owego nowo przybyłego karzełka, który oparł swój topór o ścianę i wskoczył na krzesło przy stoliku Żarnowca.

— Ja, nie sądzę... — zaczął początkujący Tajemniczy Gość z Północy, ale karzełek mu przerwał.

— Nie gorąco ci? Na twoim miejscu zdjąłbym ten kaptur, no i włosy się strasznie przetłuszczają, chyba że masz straszliwie zmasakrowaną twarz, blizny albo liszaje, chociaż z drugiej strony, takie liszaje muszą chyba oddychać, nie? W każdym razie, to taka moja rada. Od duszenia skóry

pod kapturem można dostać straszliwej opryszczki, taka jest smutna prawda.

— Nie mogę zdejmować kaptura w karczmie — szepnął zdesperowanym tonem Żarnowiec, czując, jak jego kariera się rozpada. Cóż począć, chyba powie naczelnikowi, że zapomniał założyć okularów i pomylił niziołka z jakimś innym stworkiem podobnego wzrostu.

— Ach tak, więc jednak liszaje — karzełek pokiwał głową z mądrą miną. W tej chwili przy stoliku stanęła po raz kolejny córka karczmarza.

— Zamawiacie coś, wędrowcy? — spytała.

— Tak, tak, jasne. Kompletną kolację, koniecznie, i coś dla tego zakapturzonego brzydala, żeby nie czuł się samotny — powiedział karzełek, zanim Żarnowiec zdążył odmówić. Dziewczyna uśmiechnęła się i poszła na zaplecze.

— Co ty wyrabiasz? I kim właściwie jesteś? — zdenerwował się Żarnowiec.

— Siedzisz tu ponury i trwonisz czas, więc chcę cię trochę rozerwać. I siebie przy okazji też. Rozrywanie jest niezwykle ciekawym procesem. Należy wziąć delikwenta obcęgami za jedną nogę, kluczem francuskim za drugą i trach. Oczywiście to akurat było kłamstwo — dodał nieznajomy raczej smutno. — Muszę się niestety zaraz przyznawać, i wtedy wszystkie żarty tracą puentę.

— Ale kim jesteś?

— Wszyscy zadajecie to samo pytanie — karzełek zmarszczył brwi. — Jestem Leśnym Dziadem, a nazywam się Veritas. No, w końcu jakiś porządny posiłek — ucieszył się, gdy córka karczmarza postawiła przed nim talerz ze straszliwie gęstą zupą, którą prawdopodobnie większość gości karczmy odrzuciłaby ze wstrętem. — Tak więc, mój drogi — ciągnął Veritas z pełnymi ustami — już znasz moje imię, a wyjawilem ci je o wiele chętniej niż tym pacanom strażnikom — zachichotał na samo wspomnienie.

— A teraz, mój Trędowaty Przyjacielu, wyjaw mi swoje imię.

— Nie jestem trędowaty — zaprotestował. — A na imię mam Żarnowiec.

— Żarnowcu, a może Żarnowcze? Któż to wie. Skoro nie jesteś trędowaty, to zdejmij ten kaptur jak ktoś normalny, w płaszczu godzi się siedzieć przy ognisku pasterskim. I co się tak gapisz? Nie dam ci zupy. Wystarczy chyba, że ci postawiłem piwo.

— Nie chcę twojej zupy — obraził się Żarnowiec. — W życiu bym jej nie tknął.

— W życiu? — zaciekał się Veritas, odsuwając pusty talerz i zabierając się do nędznego kawałka mięsa z chlebem. — Nawet w życiu po życiu, albo w życiu w ukryciu, albo w życiu spędzonym na samym tylko myciu... Zresztą, teraz nie jesteś w życiu, tylko w karczmie.

— Jesteś denerwujący — zgrzytnął zębami Żarnowiec.

— Owszem — potwierdził z entuzjazmem Veritas. — Ćwicyłem to długie lata. Jak się jest Leśnym Dziadem, trzeba umieć mijać się z prawdą, a do tego potrzeba umiejętności. I znajomości takich wyrażen jak „teoretycznie”, „ogółem rzecz biorąc”, „zapewne uznacie to za kłamstwo” i tak dalej. Natomiast przekręcania słów na drugą stronę uczyłem się u Pani, Która Nie Jest. To bardzo przydatne, gdy nie potrafi się skłamać — połknął ostatni kęs chleba i popił łykiem piwa. Skrzywił się i otrząsnął. — Nigdy się nie przyzwyczaję. Ale to chyba taki wasz narodowy napój, co? Trudno. Skoro nic innego nie ma. Milczysz, trędowaty Żarnowcu. No już, nie po to ci stawiałem to piwo, które tak tu umiłowaliście, żebyś siedział z ponurą miną — a właściwie nie widzę twojej miny, ale przypuszczam, że jest ponura. Wypij to, bo muszę z tobą porozmawiać, a nie chcę, żeby ci przypadkiem zaschło w gardle.

Dowódca mnie zabije, pomyślał Żarnowiec, ale posłuchał Veritasa.

— O czym to chcesz ze mną porozmawiać? — spytał po chwili, odstawiając kufel na stół.

— Czy masz jakieś zlecenia, bo bardzo chętnie przyłączyłbym się do jakiejś wyprawy. Muszę się trochę pokręcić po świecie, nim się zestarzeję i będę zmuszony pilnować swojego lasu. Najlepiej zlecenie niebezpieczne.

— A skąd ty w ogóle wiesz, że kiedykolwiek mam jakieś zlecenia?

— Raz. Siedzisz tu sam. Dwa. Siedzisz w kapturze i gapisz się w przestrzeń. Trzy. Masz wielki miecz i drugi, połamany, który nie wiem po co ci jest, ale nieważne. Cztery. Z kieszeni wystaje ci książeczka z wielkim, jaskrawym napisem „Rachunki, przychody, dochody i rozchody, ostatnie zlecenia”. To wszystko wskazuje na to, że jesteś jednym z Ponurych Kretynów z Północy.

— Masz bardzo dobry wzrok — wymamrotał Żarnowiec.

— A żebyś wiedział. Więc jak, masz zlecenia, czy nie?

— Na razie nie. Ale prawdopodobnie przed końcem wieczoru sytuacja się rozwinie. Ostatnio wszelkich zleceń za-trzęsienie.

— Bardzo dobrze. Chociaż niedobrze dla infrastruktury cesarstwa, oczywiście.

— Ale wcale nie powiedziałem, że pozwolę ci...

— Tak, tak, chcesz pozować na wolnego strzelca, prawda, żadnych współników. Ale musisz przyznać, że już cię trochę nudzą te samotne wędrówki.

Skąd on o tym wie, zirytował się Żarnowiec.

— Dobrze więc. Wygrałeś — powiedział ponuro i poprawił kaptur.

— Ja zawsze wygrywam — Veritas wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Rozdział III

Powoli nad miastem Podzamcze zapadała noc. Zapalały się latarnie, ale tylko przy głównych alejach. W wąskich uliczkach panowała coraz czarniejsza ciemność. Karczmy wypełniały się do granic możliwości. Na podwórza wychodziły koty. W końcu bramy miejskie zamknęły się z trzaskiem. Ostatni wędrowcy zdyszani wbiegli chwilę przedtem do środka i teraz opierali się o mury, jakby nie chcąc, by ich zauważono.

Tymczasem w sypialni w znanej już nam karczmie paliła się tylko jedna świeca, oświetlając ciasne wnętrze, które Żarnowiec dzielił z towarzyszem. Siedział zgarbiony na niskim stołku i opierał głowę na dłoniach.

— Melancholia? — spytał Veritas, polerując swój imponujący topór. — Martwisz się pewnie, że nie dostaniesz zleceń. A ja ci mówię, że gdybyś tak nie krył tej buźki pod kapturem, to byś nie miał żadnych zmartwień. Bo wcale nie jesteś taki brzydki, jak się spodziewałem, więc wziąłbyś sobie jakąś tam żonę, jak to ludzie mają w zwyczaju, i...

— Zamknij się — burknął Żarnowiec. — Mogę poślubić tylko elfkę, i dopiero jak skończę siedemdziesiąt lat.

— A to czemu? — zdziwił się Veritas. — To trochę późnowo, prawda? Ja bym tak nie zwlekał na twoim miejscu.

Żarnowiec nie odpowiedział. Leśny Dziad, pogwizdując, schował szmatkę do polerowania i odstawił topór pod ścianę. Wstał, przeciągnął się i zanucił:

*Lepiej późno niż wcale
Lepiej wcześniej niż późno
Więc nie zwlekaj, idź dalej...*

— Mam szczerą nadzieję, że naprawdę ktoś tu przyjdzie ze zleceniem, bo jeszcze jeden taki wieczór z nostalgicznie spoglądającym brodatym brunetem i się zniechęcę — oświadczył. Nie otrzymawszy odpowiedzi, wzruszył ramionami i podszedł do bagaży Żarnowca. Składały się one z dwóch sakw i kilkunastu mieszków powiązanych sznurkami. Zaczął od pierwszej sakwy. Znalazł w niej między innymi długą, czarną pelerynę z kapturem. Zarzucił ją na ramiona i stwierdził:

— No tak, trochę na mnie za duża, ale całkiem nieźle. Wiesz, nie spodziewałem się znaleźć u ciebie ciuchów na zmianę, Żarnowcu.

Żarnowiec jakby się ocknął i z wściekłą miną rzucił się na Leśnego Dziada, chcąc zerwać mu z ramion pelerynę. Ten jednak uskoczył, pobrzękując kolczugą i chichocząc. Naciągnął na głowę kaptur i zahuczał:

— Łuuu, jestem dusza potępiona! Tak naprawdę to nie, oczywiście — dodał niechętnie.

— Nie wezmę cię na żadną wyprawę! — wrzasnął rozgniewany Żarnowiec. Veritas spojrzał na niego urażonym wzrokiem zranionego zwierzątka i ściągnął pelerynę. Zrzucił ją powolnym ruchem na ziemię, po czym nagle dopadł sakwy po raz drugi i skoczył wysoko, uczepiając się sufitu.

— Nie grzeb w moich rzeczach! — ryknął Żarnowiec, próbując dosięgnąć przeciwnika. Veritas wczepił się jednak mocno jedną ręką w krokwie powały, a drugą wyciągał kolejne rzeczy z worka.

— Przepis na kremówki! — wykrzykiwał. — Majtasy na zmianę! Nici do czyszczenia zębów! Krople uspokajające!

— Chyba będę musiał ich często używać — powiedział Żarnowiec przez zęby.

— Ooo. A to co? „Wielki nieśmiertelny kodeks Tajemniczych Gości z Północy”. Punkt pierwszy: konieczne jest królewskie bądź też, w najgorszym razie, szlacheckie pochodzenie. Punkt drugi: nie zdejmuj kaptura w karczmach. Co za bzdury! — zawołał Veritas z niesmakiem i zeskoczył na podłogę, gdzie dyszący żądzą zemsty Żarnowiec wyrwał mu z rąk sakwę.

— Musimy coś ustalić — warknął. — Ja tu rządzę. Ty jesteś na doczepkę. Ja mówię. Ty słuchasz. Zrozumiano?

— Ty mówisz, ja słucham. Taaak, dość proste. Ale teraz jest dokładnie na odwrót. Ja mówię, ty słuchasz.

— Nie o to mi chodzi. Ja rozkazuję, ty robisz, co ci każe. Inaczej zginiemy obaj, jak tylko wyjdziemy za miasto.

— Dobra, dobra. Ty rozkazujesz, ja robię, co mi każesz. Ale z ciebie nudziarz. A to nawet niezłe — zamilkł na chwilę, po czym zaczął rapować:

*Ty rozkazujesz, ja robię, co mi każesz
Grzechu swojego chyba nigdy nie zmażesz
Tyle kremówek żeś dostał w darze
Teraz one wszystkie fajczą się w żarze...*

— Chyba ktoś idzie — uszy żartownisia poruszyły się.

Rzeczywiście, zaraz rozległo się stukanie do drzwi. Żarnowiec w popłochu wepchnął zapasową pelerynę do torby, a sam zarzucił na głowę kaptur i usiadł na swoim stołku. Veritas otworzył buzię, jakby chciał coś powiedzieć, ale Żarnowiec spojrzał na niego groźnie. Wobec tego Leśny Dziad zamknął usta i chwycił swój topór.

— Tylko niczego nie popsuj — syknął Żarnowiec, po czym powiedział głośniej: — Proszę!

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła dwójka wędrowców, kobieta i mężczyzna.

— Czy ty jesteś Strażnikiem Północy, Żarnowcem? —

spytała kobieta. Wszystkie „r” wymawiała bardzo twardo, miała jasną skórę i ciemnorude włosy.

— Owszem — powiedział chrapliwie i, we własnym mniemaniu, tajemniczo. — Czego sobie życzycie, szlachetni przybysze?

— Mamy zlecenie — burknął mężczyzna, mający jeszcze bardziej niechlujny zarost i jeszcze brudniejsze włosy niż Żarnowiec, który spojrzał na niego z pewną dozą zazdrości. — Ja jestem Chruśniak, a to jest Scholastyka. To bardzo ważna, bardzo pilna i bardzo... tajna sprawa — przy ostatnich słowach zniżył głos do szeptu i rozejrzał się niespokojnie. Dostrzegł Veritasa, ściskającego topór tak mocno, że pobiełały mu kostki. — Kto to? Twój syn, panie?

— Syn? — oburzył się Żarnowiec. — W żadnym razie, panie, to nie mój syn! Przecież to nawet nie człowiek, nie widzisz, panie? To mój... wspólnik.

— Wspólnik. Ach tak — powiedział Chruśniak. — Można mu zaufać, prawda?

— Oczywiście — odparł Żarnowiec niezbyt pewnie. Veritas cały czas milczał, a minę miał bardzo nieszcześliwą.

Scholastyka wyjęła mapę i rozłożyła ją na niewielkim stoliku.

— Zdążamy tu, na południe Sylstynu — mówiła bardzo szybko przyciszonym głosem. — To jest nasza wioska. Nie siemy coś bardzo cennego i obawiamy się szpiegów. Chcemy eskorty. I żadnych pytań. Plus dyskrecja. To wszystko ma zostać między nami.

— Więc o to chodzi. Rozumiem — szepnął Żarnowiec. Kusiło go, by spytać, co to za cenny przedmiot, ale powstrzymał się, wiedząc, że wówczas w najlepszym razie straciłby zlecenie, w najgorszym życie. — Nie martw się, pani. Strażnicy nie wygadują się byle komu.

— Cena, mam nadzieję, niezbyt wygórowana — mruknął Chruśniak. — Płaci się z góry?